Nr. 7. Lwów dnia 16. Marca 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świecie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Od redakcyi.

Nadspodziewanie dobre przyjęcie, jakiego pismo nasze doznało u czytającej publiczności, pozwala nam dziś już **rozszerzyć znacznie jego pierwotne rozmiary.**

W prospekcie ogłosiliśmy, iż *Świt* będzie wychodził tygodniowo w objętości arkusza *in quarto* i tylko pragnąc, aby drugi kwartał rozpoczął się dla nas, jak dla wszystkich pism, z dniem 1go Kwietnia, wydawaliśmy w przeciągu Lutego i Marca tygodniowo półtora arkusza, tak aby czytelnicy z końcem Marca mieli w rękach całych dwanaście arkuszy druku.

Co więc dotychczas było nadzwyczajnym dodatkiem, stanie się odtąd stałym formatem Świtu.

Odtąd czytelnicy odbierać będą już niezmiennie półtora arkusza druku tygodniowo czyli 18 arkuszy kwartalnie, a w ślad za tem pierwszy kwartał, który miał się skończyć z upływem Marca, zostaje przedłużonym do ostatniego Kwietnia.

Mimo znacznie w skutek tego powiększonych kosztów nakładu, cena Świtu pozostaje niezmienioną.

Postanowienie to jest wyrazem przyjętej przez nas zasady, ażeby każdy dochód z wydawnictwa obracać na jego ulepszenie zarówno pod względem formy, jak treści.

Lwów, dnia 15. Marca 1872.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studyum literackie

przez

Dr. Adama Bełcikowskiego.

Na literaturze tej epoki sprawdził się znany axiomat, że ostateczności się stykają. W tym samym bowiem czasie, gdzie w życiu politycznem objawiało się pewnego rodzaju upodobanie błędów i wad, podkopujących fundamenta społeczeństwa, gdzie nie było końca wzajemnym pochwałom, uwielbianiu się i podnoszeniu pod niebo mierności lub napuszystej dumy, czyli w tym okresie pochlebnych dedykacyi i szumnych panegiryków pojawiły się także najwięcej oburzeniem i żółcią napełnione, nielitościwie swój czas smagające satyry. Są one niejako odwrotną stroną tego medalu, któremu po wierzchu starano się nadać połysk jak najświetniejszy. Autorowie tych satyr bezwiednie dopełniali obrazu swej epoki, mieszając do świetnych i jaskrawych barw, w których ją przedstawiano, koloryt czarny i cienie uderzające kontrastem. Czuli oni różnicę, jaka zachodziła między rzeczywistością a powszechną prawie opinią, dającą się najwyraźniej słyszeć w literaturze, a podnoszącą ludzi i wypadki nad ich wartość, łudzącą się pozorami. Pochlebstwo i zaślepienie wystawiające wszystko w różowej barwie i nieprzeczuwające następstw, obudziły w ich duszach żal i oburzenie.

Z tego to uczucia należy sobie tłómaczyć gorycz ówczesnych satyr. Przedstawiają one swoje społeczeństwo jego tak prywatne jak i publiczne życie, w tak niekorzystnem świetle, że gdyby wszystko, co swemu wiekowi

zarzucają, było prawdą, musielibyśmy stracić zupełnie dobre wyobrażenie o naszych przodkach z owych czasów. Ostrość jednakże tych rysów trzeba złagodzić, pamiętając na to, że wywołał ją bezwątpienia ten duch kontrastu, który chwyta się zawsze skrajnego zdania, również nie zupełnie sprawiedliwego, jeżeli dostrzeże, że wyobrażenia ogólne grzeszą jednostronnością i przesadą. Ani w panegirycznej literaturze XVII wieku, ani w satyrach nie ma bezwzględnej prawdy — szukać jej trzeba w pośrodku.

Do ówczesnych satyryków można zastósować wiersz, który A. Perzyusz położył kiedyś na czele swych satyr. Właśnie w tej epoce przełożono u nas pierwszy i ostatni raz tego ostrego przyganiacza obyczajów rzymskich, a przekładu tego dokonał Mar. Słonkowicz, prof. akad. krak. 1651 r. Perzyusz stawiał sam siebie na biegunie przeciwnym ówczesnym poetom, którzy dymem pochwalnym kadzideł dobijali się łaski mecenasów, podobnie jak my dzisiaj stawiamy naszych satyryków na drugim krańcu małodusznych lub bezmyślnych panegirzystów:

„Anim ust zmoczył w zdroju Pegazowym,
Ani pamiętam snów na dwuwierzchowym
Parnasie, żebym zaraz siał wierszami.
Rzekę Pireńską bladą i z Muzami
Tym zostawuję, których obraz zioły
Swemi bluszcz zdobi: ja wieśniak na poły
Apollinowi wiersze swe przynoszę.
Papugę witać, kto sposobił proszę?
Kruków kto niegdy jak z pudła pozdrawiać,
Sroki kto uczył słów naszych wymawiać?
Mistrz słów uczonych i dowcipu dawca
Brzuch, z przyrodzenia słów niezwykłych sprawca...

Ten sam realizm, z jakim tu nie tai się a nawet chwali Perzyusz, zrywając z poetami a nawet poetycznem natchnieniem, ponieważ to pobudkom materyalnym nieraz powodować się dało, stanowi także cechę satyryków XVII wieku, widną zarówno we formie niedbającej o artyzm poezyi, częstokroć prozaicznej, jak i co do treści, kiedy zrywają wszelkie zasłony mogące pokryć szpetną nagość ludzi i ich życia.

Nim zaczniemy mówić o naszych satyrykach, nie od rzeczy będzie przyjrzeć się, jakie też wyobrażenie miała o nas reszta Europy, jak nas gdzieindziej krytykowano i jakie w nas znajdowano złe strony. Od czasu kiedy tron polski stał się elekcyjnym, zaczęto się więcej nami zajmować, bo interesa innych mocarstw ze stanem i położeniem Polski ściślej się zespoliły. Właśnie około połowy XVII wieku pisano o nas dosyć za granicą. I tak pisał o stanie Polski Anglik Tomasz Lansius (przed r. 1655) w swojej Konsultacyi, dając zarówno pochwały jak i nagany. Chwalił nas Maksym. Mosch, ganili przeciwnie Achacy Oxelli i Hovol w swej angielskiej książce: Diet r. 1653.

Ale największej doniosłości było bez wątpienia zdanie szkockiego poety, słynnego na całą Europę Jana Barclaya. To nadto, co on o Polsce powiedział, było u nas najwięcej znane i wywołało nawet opozycyę literacką. W historyczno-satyrycznym romansie swoim p. t. Satyricon Euphormionis Lusini, skreślił Barclay pogląd na charakter i obyczaje ludów europejskich p. t. Icon animorum praecipuarum nationum Europae. W rozdziale 8mym Ikonu mówi także o Polsce, naprzód o jej położeniu, o naturze i płodach ziemi, następnie o zwyczajach i charakterze narodowym.

„Życie Polacy po największej części twarde prowadzą — powiada Barclay — bo klimat u nich przykry, ani ich obyczaje nie posiadają ogłady naszego wieku i ztąd niekiedy dzikiem jest ich usposobienie. W domach zajezdnych przyjmują podróżnych w sposób odmienny od naszych krajów. Zaprowadzają ich do pustych izb, gdzie światło tylko przez szczeliny zrobione w ścianach się dostaje i które na wiatry i zimno są wystawione. Nie ma tam łóżek do spoczynku, ani stołu do jedzenia, ściany gęsto zbite gwoździami; na tych podróżni tłomoki swe po porządku zawieszają, na ziemię zaś ścielą wiele słomy i to zastępuje w owych domach gościnnych miejsce łóżek. Dlatego podróżujący w tym kraju tak się wybierają w drogę, jak gdyby cały dom z sobą nosili. Zabierają ze sobą żywności, łóżka na wozach przewożą, aby w owych nagich zajazdach mogli od głodu i zimna się uchronić. Narodowi temu wrodzona jest srogość i swawola, którą wolnością nazywają, do tego stopnia, że teraz dopiero znieśli barbarzyńskie prawo od wieków istniejące, według którego zabójca był wolny od kary i sądu, jeśli na ciało zabitego rzucił pewną ilość pieniędzy przez toż prawo oznaczoną. I nie ceniliby tak lekko życia ludzkiego, gdyby z wrodzonej srogości umysłu nie uważali wylania krwi ludzkiej za małe przestępstwo. Nienawidzą samego nawet nazwiska nietylko poddaństwa, ale nawet sprawiedliwej i prawej monarchii. Król do zachowania praw krajowych siłą i bronią bywa przymuszany. Szlachta siebie samą opłakanymi przywilejami obdarowała, aby według nich mogła nawzajem sobie krzywdy wyrządzać bezkarnie; królowi bowiem nie przysłuża prawo karania występków. Sobie samym nazbyt ufają; i takaż sama swawola jak w wolności, obyczajach i rubasznem życiu, panuje także w pojmowaniu religii i rzeczy świętych, o których wolno jest jak się podoba myśleć i mówić, ponieważ zarozumiałość nie pozwala mądrym być według cudzego zdania. Ztąd różność tam w umysłach i stek wszelkich odszczepieństw, jakie kiedykolwiek dawne wieki kalały. Każdy ma za bardzo wiele zaszczyt swej rodziny, szczególnie przed cudzoziemcami i nieznającymi ich stosunków. Skłonniejsi srożyć się niż oszukiwać i sami prędzej dadzą się zmódz podstępom niż przemocy."

Takie wyobrażenie posiadała zagranica o Polsce. Barclay umiał często w swych twierdzeniach pochwycić prawdę, ale nie był wolny od uprzedzenia, które nieznajomość rzeczy za sobą sprowadzała. Dopiero 1648 r. wyszła odpowiedź na krytykę Barclaya. Napisał ją Łukasz Opaliński, później marszałek nadworny, brat młodszy satyryka Krzysztofa, który właśnie w ciągu 10 lat 1638—1648 cofnął się od życia publicznego i pisaniem pożytecznych książek zajmował. Dzieło to wyszło po łacinie pod tytułem: Obrona Polski przeciw Janowi Barclay'owi (Gdańsk 1648), a Opaliński zbija w niem zdanie po zdaniu twierdzenia angielskiego pisarza, popierając swe dowody ustawami krajowemi i powagą autorów klasycznych (przytacza i greckich w oryginale).

Ale obrona jego nie zupełnie na korzyść Polski musiała wypaść, co spowodowało Bentkowskiego do powiedzenia, że „źleby było, gdyby każda obrona w ten sposób miała być pisana."

Jeszcze wcześniej przed rozprawą Opalińskiego pojawiło się 1647 r. tłómaczenie Ikonu Barclayowego. Tak przynajmniej powiada tytuł. Tekst jednakże łaciński, tu przywiedziony i przekład jego polski, oba w wierszach, odmienne są od tekstu Barclayowego, który jest prozą pisany. Zdaje się, że autor wziąwszy sobie za tło Barclaya zmodyfikował jego zdania, odrzucając wszystko rażące lub przesadne i z własnego doświadczenia uczynił tę satyrę podobniejszą do rzeczywistości. Poetycznej wartości nie posiada żadnej, bo w krótkich wierszykach, w najprostszych zdaniach rzuca tylko rys po rysie.

(C. d. n.)

Z WIKTORA HUGO:

Jakim ma być poeta?

Trzeba, żeby poeta, wpatrzony w błękity
Duch łagodny, co cienie ukochał i świty,
Co wątpiącym przyświeca, błędnym przewodniczy,
Którego drżąc słuchają pieśni tajemniczej
Kobiety, marzyciele, mędrcy, kochankowie —
Umiał czasem być strasznym i miał piorun w słowie!...
A jeśli myśl nad jego księgą się rozmarzy,
Co krzepi, cieszy, pieści i pokojem darzy,
Gdzie dusza co krok znajdzie zkądby zbierać miody,
Gdzie i kąt najciemniejszy ma promień pogody,
Wśród poezyi, co razem skromna i podniosła,
Jako ustroń urocza kwiatami porosła,
Gdzie słychać łzę co spada i mruczenia zhroju,
Gdzie strofy jako ptaszki w pysznych piórek stroju,
Lecą, śpiewając miłość, radość i nadzieję —
Niechaj czasem się nagle od trwogi truchleje,
Gdy, jak zwierz, co przechodnia dreszczem strachu ziębi,
Z groźnym rykiem ponury wiersz wypadnie z głębi!
Poeta być powinien jak bór pierworodny,
Bujny, świeży, zielony, w tysiąc nasion płodny,
Pełen pieśni i woni, gdzie gąszcze przenika
Blask słońca, lecz się czasem nagle lwa spotyka.

Adam Pajgert.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

V.

Projekt spaceru okrętem. — Porównanie marynarki moskiewskiej za Aleksandra Igo i za Mikołaja. — Uczta na pokładzie i wiwatowa kanonada. — Powrót do Odessy.

Nie pomnę już *in gratiam* czego przyszła myśl p. Markowi Sarneckiemu wyprawić wielką ucztę na okręcie. Z powodu bliskiej znajomości ze starszyzną odesskiej brandwachty postanowił na jej pokładzie swój projekt uskutecznić. Zaczęły się tedy negocyacye z dowódzcą rzeczonego statku, kapitanem Popondopoło, za pośrednictwem jego oficerów Skarabellego i Zajcewskiego. Gdyby się p. Sarnecki ograniczył jednym tylko obiadem, rzecz dałaby się załatwić w dwóch słowach, lecz nie był to człowiek przestający na małem. Zachciało się jemu koniecznie spaceru okrętem i to jeszcze za rejon portowej granicy aż na wysokie morze— a że brandwachta skutkiem natury swej służbowej funkcyi pozbawioną była prawa samowolnego wydalenia się z portu, nic dziwnego, że układy szły oporem. Poczciwy kapitan wypraszał się, zżymał, a nawet niecierpliwił. Tego mało, zatykał sobie uszy i niebaczny ani na swój szósty krzyżyk, ani na ciężar przeważnej tuszy z lekkością sylfa od natrętnych nalegań uciekał. Niepopomogło! musiał w końcu zgodzić się, przekroczyć najgłówniejszą zasadę swego oficyalnego mandatu i spacer okrętem został solennie uchwalony.

Z tego faktu, mało znaczącego na pozór, można wziąć miarę, jak słabo kontrolowano za Aleksandra Igo ład administracyjny floty, oraz jej dyscyplinarną uległość przepisom morskiego kodeksu. Kiedy armia kontynentalna była bogdaj czy nie najpierwszym przedmiotem troskliwości rządu, siły morskie zostawały w zupełnej poniewierce, jakby rzecz podrzędna, obca politycznym potrzebom i dążeniom kraju. Niebacznie budowane i nadwątlone wiekiem okręty, włóczyły mozolnie wzdłuż pontyjskich wybrzeży spłowiałą banderę carską, odleglejszej nie ważąc się przedsiębrać żeglugi. Kapitanowie byli po większej części rutyniści starej nautycznej szkoły. Admirałowie mało co więcej od nich umieli. Ten brak rządowego względu dla floty spowodował upadek jej ducha, a tem samem i rozprzężenie się karności. Prawdziwym wskrzesicielem marynarki moskiewskiej był car Mikołaj. Dzielnym bodźcem sprężystej woli pchnął on ją naprzód, ujął w karby, szeroko rozwinął. Cherson, Mikołajów, Rostów, Petersburg i Kronstadt zakipiały czynnością zdolnych i długiem wpatrywaniem się w najcelniejsze wzory nautycznego budownictwa wydoskonałonych inżynierów. Warsztaty Francyi, Anglii, a zwłaszcza Ameryki stały się przedmiotem głębokich studyów, któremi oświeceni moskiewscy marynarze młódź swego kraju na dobrych i biegłych żeglarzy. Krusenstern, Bellingshausen, Greigh, Łazarew, ludzie europejskiej sławy, *) wielcy specyaliści morza stanęli na czele floty. Pierwsi dwaj znani w uczonym świecie z podróży swoich kręgoziemnych, wysoko cenionych. Ostatnich dwóch biegłość administracyjna i techniczna nic nie pozostawiała do żądania. Z ich to szkoły wyszli za Mikołaja admirałowie Hayden, Lütke, Korniłow, Nachimow, Istomin, godni naśladowcy takish wzorów. Hayden dowodził mężnie w r. 1827 pod Nawarynem. Lütke pisał nautyczne dzieła i podróże. Trzej ostatni gorliwi strażnicy ducha i karności morskiego

*) Nie sądzę, żeby mi wyrzucano sprawiedliwość, jaką oddaję znakomitościom do przeciwnego nam obozu należącym. Według mnie nieprzyjacielowi nawet należy się uznanie, skoro na takowe zasługuje. Wreszcie ludzie tacy jak Bellingshausen, Krusenstern i Greigh nie mogli być w gruncie nieprzyjaciołmi naszej sprawy, albowiem żeby jej nie uszanować trzeba być albo kompletnie głupim, albo kompletnie złym, a oni takimi nie byli. Po moim powrocie z Kaukazu w r. 1847 do Petersburga traf szczęśliwy zbliżył mnie z sędziwym admirałem Bellingshausenem. Był wtedy jenerał-gubernatorem Kronsztadtu, gdziem go dość często odwiedzał. Korna cierpliwość, z jaką kilkogodzinnych jego narracyi o lądach i morzach słuchałem, zjednała mi wzgląd jego przychylny. Przywiązał się staruszek do mnie całą siłą swej wielomówności, całą potrzebą przelania do czyjejś duszy uroczystego żalu po dobach świetnej przeszłości, którą za sobą zostawił. Pamiętam, że kiedym odjeżdżał z Petersburga i z pożegnalną wizytą do Kronsztadtu pośpieszył, pobłogosławił mi na drogę i rzekł, cisnąc rękę moją: *„Je suis peiné de Votre départ. J'ai trouvé en Vous ce qui ne se laisse trouver, que dans une âme polonaise — dignité et délicatesse. Ce sont vos qualités nationales.“*

Czy były to słowa wroga Polaków?

*

ludu, padli pod Sewastopolem, nie chcąc przeżyć czarnomorskiej floty, którą car zatopić kazał. Nie udałoby się panu Sarneckiemu w tym peryodzie żelaznej dyscypliny służbowej skłonić kapitana brandwachty do kroku, coby nań ściągnął bogdaj czy nie wieczną katorhę, jeżeli nawet nie karę śmierci. Lecz w r. 1822 działo się inaczej. Poczciwy Epikurejczyk Popondopoło, który u pana Sarneckiego tyle smacznych obiadków skonsumował i tyle flasz przedniego szampana wysuszył, machnął ręką na groźną interdykcyę morskiej dyscyplinarnej ustawy i pomyślawszy zapewne sposobem fatalistów: Jakoś to będzie! dozwolił swojej niewolniczej fregacie przewietrzyć się trochę.

W dniu naznaczonym zaczęli się zgromadzać u nas liczni zaproszeni. Całe niemal miejscowe i podróżne towarzystwo, bliższymi stosunki z domem naszym połączone, pospieszyło na hasło morskiej fety, do której, ma się rozumieć, uprzejmy i bogaty amfitryon, pan M. Sarnecki, należycie się przygotował. Kilkanaście wielkich łodzi przewiozło nas na brandwachtę, gdzie zastaliśmy już stół ogromny wykwintnie ubrany i zajmujący całą prawie długość pokładu. Majtkowie stali na rejach. Kapitan z oficerami przyjmował gości u wchodowej drabinki. Jenerałom de Langeron i Wittowi oddano wojskowe honory. Damom rozesłano kobierce pod nogi i ofiarowano prześliczne bukiety. Dziwnie jakoś odbijały te wonne kwiaty, te barwiste dywany i ten stół srebrem, kryształem i śnieżną tkanią bielizny świecący, obok smolnych desek pokładu, lin i powrozów dziegciem obrudzonych i groźnej bateryi 30 armat, zdających się przeczyć spokojnym i niewinnym uciechom przyjacielskiej biesiady. Sama nawet grzeczność oficerów, pełna hołdownej uprzejmości dla dam naszego grona, miała swą oryginalność, żeby nie powiedzieć swoją niewłaściwość w tem miejscu i pośród tych dzikich twarzy okrętowego ludu, co się z wyrazem podziwu świetnemu orszakowi powabnych i malowniczo wystrojonych kobiet ciekawie przyglądał.

Na dane hasło do zdjęcia się z kotwicy skoczyli majtkowie do kabestana. Inni wbiegli na bukszpryt dla uregulowania przodowych trójkątnych płócien kierowniczych. Inni znowu rozsypali się po rejach, lub zawieszeni gdyby pająki na swoich niciach, rozpuszczali pętle i węzły krępujące swobodę żagli. Był to widok rzeczywiście zajmujący a dla nas nowicyuszów niezwykły. Ten ruch ogólny, gorączkowy, pozornie chaotyczny, chociaż realnie porządny, bo systematyczną działalnością chwilowej potrzeby określony, miał w sobie coś podniecającego młodą wyobraźnię, jaką była moja. Wkrótce zaskrzypiał kabestan, zadrgała fregata radością odzyskanej wolności i głośne ura! całego ekwipażu powitało ciężkie wznoszenie się kotwicy, osnutej siecią traw podwodnych i opruszonej żwirem otchłani.

I w tejże chwili posłuszna hasłu rudla zawróciła fregata ku stronie wysokiego morza i pochwyciwszy wiatr białemi skrzydły popłynęła.

Dzień był pogodny. Na morzu było spokojnie. Dalekie zarysy brzegów blask fioletowy oblekał. W tajemniczej głębi nieboskłonu lazurem świecącej i złotem, tonęła powódź Euksyńskiego Pontu, unosząc statek nasz powiewający barwistemi bandery i flagi.

Zachwyt mój był nie do opisania, tembardziej, że powód onego był dla mnie zupełnie nowym. Przestrzeń wciągała mię do siebie — łudziła czarownemi mamidły czegoś nie dającego się wyrazić ani nawet porządnie w myśli uszykować. Jakieś promieniste *fata morgana* migały przedemną na wysokościach empireju wyobraźni, nieznającej jeszcze wędzidła rozumnej woli, a więc bezrozumnej i dziwacznej. Jakaś błogość nad pojęcie krążyła we mnie żywotwornym strumieniem. Rad byłbym płynąć daleko! płynąć bez końca! Dokąd? mniejsza! byle nie nazad! I cóż dziwnego? Byłem dzieckiem i nigdy nie żeglowałem po morzu.

Kiedy usadowiono się do uczty, rozpoczęły się urwane dyalogi, wesołe szczebiotanie kobiece, poważniejsze rozmowy mężczyzn. Hr. de Langeron nakreślił kilka mistrzowskich szkiców morskiego życia, którego doświadczył za młodu, gdy towarzyszył jenerałowi Rochambeau na wojnę amerykańską o niepodległość. Popondopoło, niepasowany przez naturę na mistrza słowa, wyjąkał, plując *à babord et à tribord* *) (jak się wyrażał nie bez ironii Skarabelli) jakąś niezwięzłą relacyę o wyspach archipelagu greckiego, do których nie wiem z jakiej się racyi uczepił. Skończył już a nikt się jeszcze nie domyślał, że wątek narracyi dosnuty. Jak nie ma melodyi bez finalnego akordu, tak też i być nie może narracyi bez jakiegobądźkolwiek rozwiązania. Cny kapitan był jednak, jak się pokazuje, innej zupełnie opinii, bo urwał nagle i ostatecznie kolejne następstwo peryodów i zamiast zaspokoić oczekiwanie słuchaczy, wolał raczej zaspokoić własne bachusowe pociągi ku wdziękom flaszy szambertena, co go wystrzeloną kibicią swoją i rubinowymi połyski wnętrza czarowała. Skrzyżowały się źrenice biesiadujących i mocna ironia przebiegła po ustach, lecz pozostała niemą, bo tego społeczne *decorum* wymagało. Wacław Emir-Rzewuski przerwał pierwszy milczenie gęstą salwą dowcipnych tranzycyi idealnych z werwą istnie francuską wyrażonych. Hr. de Langeron wtórzył jemu po mistrzowsku sypiąc żywe *concetti* i kalambury jak z rękawa. Witt szukał dowcipu i nie znajdował. Ludwik Sobański, Feliks Ciszewski, Antoni Czarkowski i Anastazy Grodecki, ukraińscy obywatele, (którzy, jak się pokazało później, byli już wtedy czynnymi członkami spisku Pestela i komisarzami polskiego towarzystwa), nie wstępowali w szranki tego oralnego turnieju, poważniejszą zajęci rozmową z konsulami Tomem i De Ribasem, ludźmi znakomitej inteligencyi i świetnego ukształcenia. A Michał Skibicki (co w kilka lat potem był w Ameryce adjutantem Boliwara), siedząc na końcu stołu zbierał bacznie wzorki na materyał do ostrej satyry, którę w umyśle układał, nim przelał na papier.

Kiedy się to działo, okręt nasz zaczął opisywać szeroki segment koła, jakby dla uniknienia mielizny, lub skały podwodnej, a że ten manewr nautyczny wymagał pewnej modyfikacyi w usroju żagli, ruch wielki powstał pomiędzy majtkami, a oficerowie przerwali na chwilę swoje gastronomiczne uciechy dla obowiązku służby.

Z racyi tego zdarzenia uczta wkroczyła w nową fazę, inny charakter przybrała. Stała się mniej wielomowną, więcej kontemplacyjną i poetyczną. Zaniechano lekkiej gierylasówki słowa, chłodnej utarczki dowcipu, a zwrócono więcej baczenia na stronę obrazową żeglugi, odbywającą się pośród rozległej panoramy pontyjskich wybrzeży. Fioletowemi barwy owiane migały nam w dali przymorskie kolonie niemieckie i odesskie futory gęstymi klomby drzew powiewające. Z prawej strony sterczała na skalistej podstawie wysoka wieża fanaru i sinym zarysem biegła stroma krawędź lądu w dal tajemniczą przestrzeni. Z lewej roztaczał się step bez granic, piaszczystemi wydmy najeżony, a na ostatecznym krańcu morskiego horyzontu majaczyły w przeźroczach eteru niepewne kontury gór Taurydy pryzmatycznymi blaski

*) Na lewo — na prawo — termina nautyczne francuskie.

jaśniejące, rzekłbyś feeryczne utwory fantazyi młodzieńczej, Atlantyda ułudy i pokoju.

Nie było takiego, coby się nie zachwycił tą wielką sceną natury. Moja ciotka Sobańska, księżna Sutzo, pani Korsi i panna de Maubeuge, żywą poetycznością obdarzone, witały ją słowy podziwu i uniesienia. Lecz gościnny promotor fety, p. Sarnecki, lubo sam gorący miłośnik krajobrazu, nie mógł wszakże być obojętnym na to pogrążenie się towarzystwa w naturze z oczywistą krzywdą bankietu. On nie mógł dopuścić, żeby tyle przewybornych specyałów kuchennego kunsztu, tyle smakowitych tortów, kremów, marcepanów, godnych Lukulla i Trimalcyona, pozostało nieocenionych i nietkniętych. Skinął więc na służbę, żeby napełniła kielichy szampanem. Szepnął coś na ucho kapitanowi okrętu. Potem wstał z miejsca swojego i wznosząc puhar do góry zawołał donośnie:

— Zdrowie dam!

Na to hasło zaniechano poetycznej kontemplacyi i toast hołdowny zabrzmiał we wszystkich ustach. I w tejże chwili nagły grom armat potrząsł okrętem. Po lewej bateryi uderzyła prawa i gęsty obłok dymu zawisł nad pokładem. Krzyknęły trwożnie damy, przerażone tą huczną niespodzianką. Lecz niebaczny na to i pragnący przedewszystkiem uczcić tych z gości swoich, co wyłącznego jego szacunku przedmiotem byli, p. Sarnecki coraz inne wznosił koleją wiwaty, to hr. Langerona, to hr. Witta, to ks. Sutzo, to konsulów austryackiego i neapolitańskiego, nie zapominając i ukraińskiego obywatelstwa, licznie i zacnie podczas fety reprezentowanego. Nie było więc końca salwom armatnim, które się odległem echem w załomach skał brzegowysh głucho powtarzały, coraz gęstszą kotarą dymu zaścielając morze i niebo i okręt buchający płomieniem i nas żeglujących gromadnie pod jasną banderą pokoju i wesela, tych uroczych, chociaż tak znikomych zjawisk docześni.

Ten ruch, zgiełk, grom — ta pełnia działalności i życia kipiąca dokoła udzieliły skrzydeł wyobraźni mojej dziecinnej. Czytałem o piratach i flibustyerach oceanu, cóż dziwnego, że natchniony poetycznemi przygody ich awanturniczego męztwa przeniosłem część wrażeń moich na obecną żeglugę naszą. Gdyby się okręt jaki nawinął z nienacka, wziąłbym go niezawodnie za nawę korsarską i wyobraziłbym sobie, że uczestniczę w prawdziwej bitwie morskiej.

Kiedy p. Sarnecki swoją litanię wiwatów zakończył, dano nareszcie pokój i biednym armatom. Dymy nowymi wystrzały niepodsycane zaczęły rozdzierać się na szmaty, rozdzielać na strzępki, rozpływać w eterze i odkrywać olbrzymie *proscenium* Pontu, którego dekoracye przedstawiały nowe już zupełnie obrazy nie tymi, co przedtem, blaski oświecone. Słońce skłaniało się ku morzu — staczało, jak ognista kula z wyżyn empireju, rumieniąc padoły świata jaskrawym szkarłatem, przechodzącym niezmacznie w harmonijne odcienia tęczy. Na całej powierzchni morza migały jakby fosforyczne połyski. Były to lśniące odbicia zachodu w szklannych przeźroczach fali— pożegnalne dary słońca dziewiczym nereidom Euxynu.

Po dziennym skwarze ożywiło się powietrze balsamiczną świeżością wieczoru, w której się kąpały rozkosznie zefiry morza — które i my wciągaliśmy chciwie z oddechem, jakby napój żywotwornego jakiegoś zdroju.

Nadeszła nakoniec chwila powrotu. Zaświstały hasła komendy i rój majtków wyskoczył na liny. Gdy zoryentowano żagle stosownie do gotującego się manewru, sternik naparł na rudlowe koło i posłuszna fregata zaczęła opisywać poważnie łuk szeroki, zmierzając ku odesskiej rejdzie, dokąd ją wiatr wschodni pospiesznie unosił.

Tak się zakończył ów dzień czystej uciechy, klejnot dziecinnej doby mojej! Widzę go jeszcze na dnie topieli czasów. Widzę jego łudzące barwy, promieniste połyski. Widzę — a jednak wydostać go z głębi nie mogę! Po tym dniu były inne, osnute kwieciem nadziei i mar edeńskich — lecz te nadzieje były szałem rozumu — te mary błędem jasnowidzenia serca. Rozczarowanie zatruło pamięć dni owych — mniej zatem doświadczam żalu po nich — mniej daleko! Niech mierzchną w otchłani przeszłości, nad którą i ja stoję już pochylony oczekując tylko skinienienia woli przedwiecznej!

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza,

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Brooke, oficer od marynarki północno-amerykańskiej, wynalazł nowy batometr, zapomocą którego można także rozpoznać jakość gruntu podmorskiego. Wystawmy sobie wałek drewniany pionowo wiszący na końcu zapuszczanego sznura, mający w dolnej podstawie małe wydrążenie, woskiem albo łojem zapełnione, a przy górnym końcu opatrzony dwoma ramionkami, które na wspólnej osi, prostopadłej do dlugości wałka, łatwo obracać się mogą, podobnie jak skrzydła u telegrafów sygnałowych przy kolei żelaznej. Wałek ten przetknięty jest przez kulę żelazną środkiem na wylot przewierconą. Ponieważ średnica otworu w kuli jest większa od grubości wałka, podtrzymuje kulę mała obrączka, do której przywiązane są dwa sznurki, kluczkami na haczykach u rzeczonych ramionek zawieszone. Dopóki aparat spada, ramionka obrócone są do góry, gdyż do nich przytwierdzony jest sznur, mierzący głębie; skoro jednak wałek stanie na dnie, kula ciężarem swym schyla ramionka na dół, kluczki sznurków, które ją trzymały, zsuwają się z haczyków, a wałek pozbawiwszy się kuli wymyka się szybko na powierzchnię morza i pokazuje próbki zaścieli lub gruntu przyczepione do wosku.

Brooke'go batometrem posługiwał się Maury, dyrektor waszyngtońskiego obserwatoryum, robiąc poszukiwania w oceanie atlantyckim. Owocem jego mozolnej pracy jest karta wyobrażająca kotlinę tegoż morza, pod względem dokładności niewiele ustępująca kartom Australii i wyżyn środkowej Azyi. Olbrzymie koryto, które rozdziela lądy starego i nowego świata, przedstawia wklęsłorzeźbę, w obec której plastyka tych lądów okazuje się o wiele skromniejszą. Dość porównać rozległe obszary na 20.000 stóp głębokie z wyżynami Azyi 8.000 do 10.000 stóp wysokimi, albo straszne przepaści, których głębokość wyrównywa wysokości najwyższej góry azyatyckiej, zwiększonej wysokością najwyższej góry amerykańskiej!

Pomiędzy nową Fundlandyą a Irlandyą rozparło się płaskowzgórze, 3.000 kilometrów długie, 700 kilometrów szerokie i tylko 3 do 4 kilometrów od powierzchni morza uchylone. Pierwsze rozpatrywanie tej wyżyny podwodnej, zwanej także telegraficzną, z powodu, iż na niej ciągną się druty przewodnie telegrafu zaatlantyckiego, odbywało się w r. 1854. Berryman uzupełnił te operacye w r. 1856, Dayman wykonał je ponownie w r. 1857. Próbki gruntu, których rozpoznawaniem zajmowali się Bailey w West-Point i Ehrenberg w Berlinie, wykazały zaściel złożoną z mikroskopicznych skorupek i z okrzemek. Okazy tych skorupek były wcale nie uszkodzone, z czego wnosić wypada, że wody morskie w tej głębokości całkiem są spokojne.

Odnoga meksykańska nie ma większej głębi nad 5.280 stóp; w odległości 30 mil geogr. na północ od półwyspu Yucatan dosięgnięto gruntu w głębokości 104 sążni. Morze Karaibskie jest głębsze; w pobliżu przesmyka Panamy znaleziono głębiznę, 2.000 sążni przenoszącą. Morze niemieckie najpłytsze jest w cieśninie Kaletańskiej; ku północy zwiększa się jego głębokość. Na przestrzeni pomiędzy Irlandyą a Hiszpanią topiel sięga do 100 sążni; 20 mil geogr. na zachód od Erris Head już mierzy 1.380 sążni.

Morze bałtyckie jest tylko 30 do 40 sążni głębokie; pomiędzy wyspą Gotlandyą a Windawą odkryto znaczną wklęsłość, ołowianka musi tam przebiedz 140 sążni, zanim dna dosięgnie. Największe głębizny w odnodze botnickiej wynoszą 67 do 100 sążni, w odnodze fińskiej 70 sążni. Morze śródziemne ma dno bardzo pozaginane. Saussure sondując głębię koło Nizzy potrzebował sznura 1 kilometr długiego. Między Dalmacyą a ujściem rzeki Padu średnia głębokość wynosi 44 metrów. Smyth znalazł w cieśninie Gibraltarskiej głębię od 300 do 900 metrów, między Gibraltarem a Ceutą 1.800 metrów. Pomiary wykonane między wyspą Rodus i Aleksandryą okazały głębię 3.000 metrów, między Aleksandryą i Kandyą 3.100 metrów, w odległości 165 kilometrów na wschód od Malty głębiznę 4.000 metrów.

Północne morze lodowate zdaje się być nie bardzo głębokiem. Począwszy od brzegów Syberyi pochyla się dno tego morza nieznacznie, tak że w odległości 280 kilometrów od lądu Wrangel znalazł głębokość 25 do 30 metrów. W odnodze baffińskiej Kane zapuścił batometr do 3.500 metrów. Kotlina oceanu Spokojnego jeszcze mało jest znaną. Największą głębiznę 4.940 metrów zmierzył Brooke pod 69⁰ szer. północnej a 166⁰ dług. wschodniej. Profesor Bache zastosowawszy teoryę ruchu falowego do bałwanów, które podczas trzęsienia ziemi od brzegów Japonii snuły się aż do Kalifornii, doszedł do tego wypadku, że średnia głębokość tej części oceanu spokojnego wynosi 4.330 metrów.

W morzu koralowem znalazł Brooke pod 13⁰ szer. połud. i 160⁰ dług. wschod. otchłań blisko pół mili głęboką. Próbki zaścieli wydobyte batometrem z głębi 5 do 6 kilometrów rozpatrywał Ehrenberg i znalazł w nich 135 form odmiennych, a między temi 22 nowych. W ogólności na dnie oceanu atlantyckiego znajduje się więcej skorupek wapnistych, na dnie zaś oceanu Spokojnego więcej krzemienistych.

Lecz dosyć tych szczegółów. Wieki jeszcze upłyną, zanim wytrwałość badawcza pokona wszystkie trudności, zanim geografia fizyczna poda dokładny obraz kształtu wszystkich den morskich i oznaczy ilość wód słonych na naszym planecie rozlanych. Ale te wody nie są, jak dawniej mniemano, masą martwą, bierną, podlegającą zmiennym prawom. Jak w całym świecie tak i tu panuje ład i harmonia; ocean, to podziwienia godny organizm, mający olbrzymie tętnice i żyły w bystrych prądach i powolniejszych przelewach, ogrzewający się ciepłem słońca i wytwarzający własne ciepło; w niezmiernej spraw chemicznych pracowni drgający życiem w nieprzeliczonych form odmianach, stopniujących się od mikroskopicznie drobniuchnych wymoczków aż do potwornych olbrotowców, od bezkształtnej pierwoszczy aż do najdoskonalszych ustrojów!

Czy tylko narzędziem mierniczem człowiek sięga w otchłanie wodne, a sam się nie zapuszcza? O! nie małym haraczem życia ludzkiego opłaca on oceanom wdzieranie się ciekawości naukowej w ich tajnie, wdzieranie się chciwości przemysłowej w ich nurty celem wydobywania perłopławów, korali i gąbki.

Największa głębokość, w której nurek wykonywać może robotę, nie przechodzi 45 stóp, już bowiem w głębokości 30 stóp doznaje ciśnienia od wody dwa razy tak wielkiego, jak od atmosfery na powierzchni morza. Nurkowie indyjscy, poławiając perłopławy, zatrzymują się pod wodą zaledwie pół minuty i jeżeli sprzyja pogoda w ciągu przedpołudnia spuszczają się 15 do 20 razy, w przeciwnym razie tylko cztery lub pięć razy. Jakkolwiek połów odbywa się tylko w lutym i w marcu i to jedynie w dniach roboczych, których liczba w wymienionych miesiącach według kalendarza indyjskiego wyrównywa prawie liczbie dni świątecznych, praktyka tego rodzaju jest przecież dla tych biednych ludzi zgubną. Rzadko który nurek dożyje podeszłego wieku. Wzrok ich tępieje, całe ciało pokrywa się ranami. Iluż to ginie w nurtach z zaduszenia albo w skutek udaru, ilu staje się łupem żarłoków ludojadów! Nauka przyszła w pomoc podwodnym robotnikom przyrządami, które im dozwalają spuszczać się w większe głębizny, do 150 stóp i tam przebywać nawet przez całą godzinę. Najdawniejszym takim aparatem jest dzwon nurkowy; później wynaleziono skafandrę, odzienie nieprzemakalne z długim wężem kauczukowym do zaczerpywania powietrza z ponad wody, a w nowszym czasie worki kauczukowe napełnione zgęszczonem powietrzem, które rurką elastyczną dostaje się do ust nurka. Mimo tych wszystkich przyborów nie może się człowiek zapuścić tak głęboko pod powierzchnię morza, jak tego dokazał wielokrotnie w kopalniach. (C. d. n.)

MĘCZENNICY FANTAZYI,

NOWELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

I Fryderyk też niedotrzymał długo w komnacie teraz okropnie dla niego opustoszałej, szybko poskładał najniezbędniejsze rzeczy, ściągnął rzemyczany tłómoczek, ujął torbę podróżną i nim dogasający księżyc pobladł

do reszty nad szemrzącemi topolami już odmykał furtkę ogrodową, po raz ostatni — skinął jeszcze znak pożegnalny domownikom, rzucił wilgotne oko na drogie swoje drzewa, na ławkę ogrodową, na okno powojem oplecione... na studnię w dziedzińcu i gołębnik... i wyszedł nocą miesięczną... pełną uroku niknących cieniów — i pierwszej mgły porannej. Zatrzymał się jeszcze na poblizkim wzgórku, wytężył ramiona ku dachom tych domków upowitych w zieleni, potem szybkim chodem rzucił się naprzód, jak człowiek, który się odrywa od drogiego sobie przedmiotu, od miejsca, gdzie najlepsza część życia jego została.

Wędrować nocą cichą, miesięczną, oddychając spokojem natury, otoczonym czarowną samotnią, samemu sobie będąc zagadką i cudem, w obec cudów wszechświata, bez związku z zewnętrznem życiem, przepadając w nieskończoności przestworach, jest to rozkosz, którą jedna tylko, pełna wiary młodość, czuć zdolna! Wędrowiec nasz w blizkiem miasteczku stanął u dawnego kolegi, spoczął i ztamtąd jeszcze całą rzewną duszę wylał w liście do matki, który się kończył słowami:

„Warto jest cierpieć w padole żywota
„Dokąd nas słońce cieszy promieniami,
„Dokąd drży wspomnień aureola złota
„I jedno! chociaż!... oko — płacze z nami!...“

Nazajutrz po całogodzinnej wędrówce ujrzał wstęgę Menu i wychodzące wieże Frankfurtu. Był to czas, nie zbyt odległy, kiedy ochocza i krzepka młodzież pieszo odbywała wędrówki, zwolna a gruntownie poznawała kraje i z większą pełnią użyć mogła podróży.

Cudowne, nieokreślone powinowactwo ducha zbliża podobne sobie sympatyczne natury równie szybko, równie gwałtownie, jak wstręt i nienawiść odpychają je od siebie.

Poznanie się, na które miernym, żółwim naturom całych lat i beczek soli potrzeba, u natur uzdolnionych duchowo a energicznych dzieje się w godzinie — w okamgnieniu czasem, jest raczej przeczuciem się, niż poznawaniem.

Fryderyk ledwie pół dnia przebył w domu frankfurckiego kupca Jakóba Gontard — a już kierunki, w których całe przędziwo jego losu wytężało wszystkie nitki swoje, były mu tak jasne, tak widoczne, że tegoż wieczora jeszcze list do drogiej matki mógł zakończyć słowami:

„Podkreśl droga mamo datę tego listu, jest ona zwrotnikową datą mego życia!“

I nikt lepiej od matki nie pojął całego znaczenia tych słów synowskich.

Kupiec Gontard, jeden z najznaczniejszych w Frankfurcie, poważany, poszukiwany, a niejednemu groźny, zawdzięczał stanowisko swoje szczęśliwemu zbiegowi okoliczności a głównie zmysłowi praktycznemu, umiejącemu wszystko podnieść i dotknąć ze strony użytecznej, wyzyskać wszelkie przypadki i okoliczności: charakter odznaczający po wszystkie czasy ludzi praktycznych zawodów.

Gontard widział w zysku cały cel życia — w sobie podziwiał sam twórcę swojej pomyślności i to nie było mu wystarczającem, ale wzniecało w nim żądzę coraz większych nabytków, rozgłosu, znaczenia, kredytu, który mu zastępywał sławę, wpływu — potęgi. Krótko i szybko poznawał i siebie dawał poznać. Tak było i z Fryderykiem. Miał mu do powierzenia wychowanie dwóch chłopców między siedmiu a dziesięciu laty. Przedstawił mu surowych żaków, skoro ich dopadł i rzekł krótko a węzłowato:

— Wielki czas, żeby te smarkacze poczuły męzką rękę. Niech doktór postępuje z niemi według swego widzenia rzeczy. Mój czas oddany moim interesom, sprawom publicznym... niewiele go mam dla rodziny... zbywa mi także na wyrozumieniu i cierpliwości. Moja żona za słaba, za łagodna, niepraktyczna, dorosłym imponuje swoim rozumem, wykształceniem i smakiem wytwornym, ale w obec dzieci nie ma ani taktu ani surowości, jednem słowem zbywa jej na tem, co zowie Francuz *le sens commun*. Bardzo się w tem różnimy. Moja żona jest przepaścistą idealistką, ja zaś co dzień widzę bardziej konieczność realizmu i jest to z mej strony wielkiem ustępstwem dla niepoprawnej ludzkiej natury, jeżeli w koło siebie ścierpieć zdołam atmosferę metafizyczną i jeżeli czasem słucham jej cierpliwie, jakbym ją brał na seryo. To W. Panu da poznać zarazem, jaki kierunek wyznaczam wychowaniu moich dzieci. Przebóg tylko nie marzycieli!... W kobiecie jeszcze to znieść można, gdy się ją trzyma w karbach, ale w mężczyźnie jest nie do darowania! Mojej żonie Grecy i Rzymianie głowę przewrócili, gdyby była mężczyzną, zdaje mi się, żeby Delfickie wyrocznie i igrzyska Olimpijskie na nowo zaprowadziła i z Platonem odprawiałaby Symposion. Tego rodzaju natury samolubnie wyłączają się od obowiązków życia, obojętna im obecność, a nie mają związku z przeszłością.

— Może jednak bywają czasami prorokami przyszłości — odrzekł Fryderyk skromnie, ale stanowczo na tę filipikę Gontarda.

Ten jednak zdał się nawet nie dosłyszeć jego słów i zawołał głośno:

— Zuzanno! proszę cię moja Zuzanno!

I przedstawiwszy z pospiechem przybysza swej małżonce, wyszedł czemprędzej do swych interesów, rad, że się pozbył tego kłopotu.

Dwoje ludzi stanęło w obec siebie, w całej pełni życia i dążenia, ludzi, nieznajomych sobie, a jednak znających się — oddawna...

Mężczyzna o Rafaelowskim wyrazie, duchowym niepokoju, istny Pelida, niewiasta kwitnąca wdziękiem, słodyczą i powagą. Melancholia i naiwna swoboda, rozum i prostota dziecka łączyły się tutaj w dziwną całość. Zdumieni, olśnieni sobą, długo stali w milczeniu — wymownem. Nieznośne bębny goniące się po pokoju, przerwały ciszę kilku chwil pełnych znaczenia.

— Jak widzisz, szanowny doktorze, otrzymasz tu surowy materyał do wyrobienia. Zadanie pańskie będzie trudne, ja czuję, że temu podołać niepotrafiłam...

— Tem lepiej... będę się czuł zasłużonym, jeżeli wychowanie tych dzieci mi się powiedzie — odrzekł Fryderyk. — Cierpliwość i przywiązanie cuda działają, zwłaszcza u dzieci. Zawsze lubiłem między niemi przebywać. Cały sekret, aby obcując z naturą dziecka, być także dzieckiem — i to niewidzialnie poważnem dzieckiem, nastrajającem umysł jego do uwagi. Któżby obojętnie mógł przejść obok tych nasion ludzkości?... W nich spoczywa przyszłość kraju, potęga narodu!... Co za zadanie, pośredniczyć w tej budowie, pomagać zrealizowaniu się w przyszłości, najpiękniejszych niekiedy ideałów, a przy tem pracować nad sobą samym, podawać im zasiłek ze skarbów własnej wiedzy, rozlać światło własne na cząstkę przyszłego pokolenia, jakiejże ofiary cel ten nie godzien!... Błoga ta nagroda, którę naprzód czujemy w samowiedzy naszej, niewielu bywa udziałem...

— Ten kierunek twórczy poznałam już w „Hymnach“ pańskiego pióra, które spotkałam w almanachu — odrzekła Zuzanna.

— Czy mogły zatrzymać uwagę pani?... Proste to objawy tęsknoty młodzieńczej, zarody myśli, z których kiedyś! może lepsze — jeśli nie większe, zdołam rozwinąć...

— Głos duszy walczącej tam słychać — mówiła Zuzanna — kształconej na wzorach moich starych a zawsze młodych — Greków!... Pan jeszcze jesteś we więzach szkoły — rzekła poważniej — we więzach narodowości, fantazyi, panującej nad spokojną wiedzą, pan jeszcze jesteś idealistą.

— Z naszym Schylerem, — odparł Fryderyk — a pani chciałabyś nią nie być... Pani?!... — tu zamilkł.

— Jestem nią w obec codziennego życia, przyzwyczajeń, tego co często z niewłaściwą manierą obyczajem zowiemy, ale walczę z tem i często udaje mi się zwalczyć Demona.

— Ale to zwycięztwo za jakąż nagrodę! przerwał Fryderyk, — natury artystycznie usposobione, bywają „męczennikami fantazyi!“

— Kogo ukochali Bogowie — rzekła Zuzanna — tego udziałem wielka radość i wielka boleść bywa. Po cichym strumieniu żeglować nie sztuka, ale wtenczas, kiedy burza losu sercem naszem miota w otchłań morza bezdenną i wyrzuca je pod niebo — ta żegluga stanowi żeglarza!...

— A koniec żeglugi?

— Prawda, jasność, spokój — mówiła dalej Zuzanna — po drodze zapewne tracimy wiele, cośmy wynieśli w początku żeglugi...

— Trzeba umieć być żebrakiem w jej początku— odparł Fryderyk — by królem wylądować tam, kędy jest *terra firma*, bo — dodał zapalając się — czy wszyscy nie jesteśmy idealistami od kapłana Apollinowego — do lichwiarza? Życie swoje chce każdy ozdobić, zakwiecić, tak jak umie i może, przez bogactwo, użycie, zdobycz, sztukę i umiejętność — nawet przez sny i marzenia! Obraz doskonałości, ku której każdy zdąża, stoi przed nami, przeszłość i przyszłość farb nam użyczają, a najmniej jest takich, co się kontentują dniem dzisiejszym, obecnością... chwilą!

— Chwilą? — zamyślona zwolna odrzekła i spotkał się wzrok dwojga upojonych ludzi, stopił się i uzupełnił w sobie, świat zdał się wzniesionym ku niebu, a w pokoju było, jakby anioł przelatywał — tu znowu hałas czubiących się z sobą chłopców przerwał rozmowę... Przerwa mimowolnie pożądana, bo dwoje tych ludzi w gorącej rozmowie doszli szczytów przedmiotowości. Granica i powrót zaś równie nie do oznaczenia — a tak hałas dziecięcy zatrzymał pierwsze wrażenie na najpiękniejszej a zawrotnej i stromej wyżynie. Pożegnano się szybko — do jutra.

(C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Scena VII.

BASIA *sama, później* SZCZUKA.

BASIA. (*rzuca się na krzesło i płacze*) Zginęliśmy, tak nasze chciały losy... spełni się co Bóg przeznaczył.

SZCZUKA. (*wsuwa się oglądając nieśmiało, z rękami złożonemi*) Panno Barbaro! łzy wasze na moją duszę spadają—ja to jestem tego nieszczęścia przyczyną— Ja! Bóg widzi, że was ocalić chciałem i przejednać! Któż mógł przewidzieć taki koniec, zgodę taką!

BASIA. A! biedny mój stary ojciec...

SZCZUKA. Pani, jeśli was dotknie nieszczęście, wszak macie zagrodę moją, domek mój, wszystko, co się mojem zowie, waszem jest... Jam winien, ja niech pokutuję, a słodką mi będzie ta pokuta.

BASIA. Możesz że myśleć, iż ojciec mój od kogokolwiekbądź co przyjąć zechce? całe życie strawił nosząc ubóstwo swe wysoko, i mnie nauczył wyżej cenić cześć niż szczęście... Ja pójdę do klasztoru, ale on! on!

SZCZUKA. Panno Barbaro! jeśli wy wyjdziecie z Wulki, ja za wami jak sługa wasz, choćbyście odpędzali, powlokę się jak pies wierny, bo ja bez was żyć nie potrafię. Jam tej zguby przyczyną, na mnie ratowania obowiązek.

BASIA. Nas już nikt nie uratuje (*spogląda oknem*) A! mój Boże! co się tam dzieje! Kupy owsa... beczki toczą... Dyplowicz lata, ojciec się krząta (*płacząc*) Zachciałeś Książe zjeść Wulkę biedną... niech ci łzy moje będą na... zdrowie.... (*do Szczuki*) Odejdź pan! Ojciec się gniewać będzie, gdy was tu zastanie — na co mu żółci dodawać!... Idź pan... żegnam go... żegnam... (*podaje mu rękę, którę Szczuka całuje*) Bądź zdrów! bądź zdrów na zawsze!...

SZCZUKA. Nie! stokroć nie! do widzenia, dziś, jutro... wszędzie i zawsze... (*wychodzi — Basia pada na krzesło i zakrywa sobie oczy*).

Scena VIII.

BASIA, DYPLOWICZ.

DYPLOWICZ. (*wsuwając się*) Za pozwoleniem czcigodnej panny Chorążanki —słóweczko malusieczkie— jedno zapytańko...

BASIA. (*zrywając się*) A! dajże mi waćpan pokój! (*uchodzi do alkierza i drzwi za sobą zatrzaska.*)

DYPLOWICZ. Otóż to oni tak się ze swym zbawcą i dobrodziejem obchodzą! Czarna ludzka niewdzięczność! (*ogląda się i zaciera ręce*) Ale mi się nie szpetnie udało! Pan Bóg mi zesłał tego Radziwiłła. Choć ściśle biorąc, nie jestem obowiązany dać świecy na ołtarz... ale, niech już i w tem będzie moja strata— dam! dam świecę... To przecież interes! (*myśli*) Zkąd on wiedział, że stęchlizna? Prawda! owies zatęchły, ale konie się na tem nie poznają. Wino — wodą podleję — trochę. Piwo kwaskowate, ale chłodzące... Interes nie bez kłopotu, ale zawsze dobry... Przecie raz sąsiada się pozbędę i dworek ten sobie zajmę... (*patrzy po izbie*) Nie zły dworek... Cale nie zły dworek!

Scena IX.

DYPLOWICZ, KSIĄŻE RADZIWIŁŁ (*w szarej długiej opończy, z podniesionym kołnierzem, bicz w ręku, wchodzi po cichu się rozglądając—Dyplowicz poznawszy go, staje zdumiony i przerażony.)*

DYPLOWICZ. A słowo się stało!... Książe! Książe tu i w takim stroju?

KSIĄŻE. Cyt! cyt! panie kochanku! Nikt mnie nie poznał, bo i poznać nie byli powinni. Przyjechałem sam powożąc się jednokonną kałamaszką, panie kochanku, ażeby zobaczyć incognito, jak mnie też szlachcic przyjmować myśli, panie kochanku...

DYPLOWICZ. (*śmiejąc się*) Co Książe pan wyrabia! Stopki Księcia całuję i weneruję...

KSIĄŻE. Kurcewicz się, panie kochanku, suto i wspaniale sztyftuje... a mówili, że nic nie ma!

DYPLOWICZ. (*żywo*) Co on się sztyftuje? Czyż to on? Wspaniale! Cha! cha. Mości Książe! Czy Wasza Książęca Mość myślisz, że u niego co było? że on co miał? To hołysz! Dopiero jak się dowiedział, że Książe jedziesz z dworem, tak on do mnie, w prośby, w modły, ledwie żę po rękach nie całował... Dypciu! kochanie... ratuj! Bierz sobie Wulkę a dawaj im czego zażądają, ażebym wstydu nie miał...

KSIĄŻE. A ty co na to, panie kochanku?

DYPŁOWICZ. No cóż, co miałem robić? Człowiek nie kamień, zforsowany, naciśnięty, musiałem się zgodzić, choć z oczywistą stratą.

KSIĄŻE. Proszę! proszę! oddał ci Wulkę, panie kochanku, aby mnie przyjąć?

DYPLOWICZ. A! oddał... ale to piaski... piachy!

KSIĄŻE. Proszę! panie kochanku! I ty taki poczciwy byłeś, żeś wziął?

DYPLOWICZ. Przez miłość bliźniego! bo to borowina, błoto i nieużytki...

KSIĄŻE. Wziąłeś, panie kochanku?

DYPŁOWICZ. Wziąłem, Mości Książe.

KSIĄŻE. (*po chwili namysłu*) Toś — kiep, panie kochanku.

DYPLOWICZ. Wolne żarty! dla czego Mości Książe?

KSIĄŻE. Boś jemu dogodził, a mnie skrzywdziłeś, panie kochanku.

DYPLOWICZ. (*przestraszony*) Ja! Księcia Jego Mości?...

KSIĄŻE. Tak! tak, panie kochanku! Skrzywdziłeś mnie... obraziłeś... Ja ciebie z bebechami w kaszy zjem, ty nieponiu, panie kochanku!

DYPLOWICZ. O Jezu miły! ale cóżem zawinił?

KSIĄŻE. Jakto? ty tego nie rozumiesz, panie kochanku? To ci piątej klepki braknie... Jakżeś ty tego nie pojął, że ja właśnie na to kroiłem, tego pragnąłem, ażeby się ten dumny szerepetka wstydził... A ty mi jego wstyd, całą moją satysfakcyę z rąk wydzierasz... panie kochanku, trutniu jakiś... Ja się na tobie mścić będę, póki życia.

DYPLOWICZ. (*pada na kolana i bije się w piersi*) Mości Książe! miłosierdzia, litości! rozkaż, mów, co mam czynić? Niech jego i z Wulką dyabli wezmą.

KSIĄŻE. Co masz czynić? panie kochanku... Co? Czyż nie rozumiesz, tępa głowo! idź — co najprędzej! nim mój dwór nadciągnie, zabieraj nazad wszystko z dziedzińca do domu. Powiedz, żeś się oszukał, że umowę zrywasz, że nie chcesz...

DYPLOWICZ. (*płacząc*) To on mi w łeb palnie!

KSIĄŻE. A jak ty mi tego nie zrobisz, co każę, panie kochanku, słowo Radziwiłłowskie, ja ci w łeb strzelę... Idź, schowaj się, ludzi tylko poszlij, ażeby mi tu, panie kochanku, w pół godziny pruszyny owsa, kawałka chleba, kropli napitku nie było. Słyszysz, panie kochanku? Tak Radziwiłł chce i każe. Od Kurcewicza się wywiniesz, ale odemnie nie! Ja takich jak ty zgniółszy na powidełka do kieszeni chowam, panie kochanku!

DYPLOWICZ. (*drżąc całuje połę księcia*) Ojcze mój, dobroczyńco! miej litość nad nieszczęśliwym, nad żoną i dziećmi...

KSIĄŻE. Przecież nie jesteś żonaty?

DYPŁOWICZ. (*łkając*) Ściśle biorąc nie, ale właśnie miałem się żenić i mieć wiele dzieci...

KSIĄŻE. Idź że mi zaraz, panie kochanku, a rób co kazałem...

DYPLOWICZ. A jak on w łeb palnie?

KSIĄŻE. Nie trafi, panie kochanku — ja w tem, że nie trafi... idź że mi zaraz... (*wypycha za drzwi*).

Scena X.

KSIĄŻE. (*rozglądając się*) Ubożuchno, ale schludnie — a ten skurczy pałka Dyplowicz całąby mi był satysfakcyę odebrał... Szczęściem, że się zapobieży, panie kochanku... Kurcewicz to dobra krew, którę muszę poszanować, panie kochanku! a za satysfakcyę znowu kieszeń Radziwiłłowska beknie... Ale jużcić i Szczuka coś wart i ten stary zabijaka mi się podoba, choć goły, ale z fanaberyą... Gdzież się on podziewa? Nikt mnie tu nie przyjął, nawet pies nie zaszczekał. Nie poznali mnie, panie kochanku i nie przewąchali... To mi się raz w życiu udało!

Scena XI.

KSIĄŻE (*chodzi przypatrując się*). CHORĄŻY (*w progu alkierza — potem wchodzi do izby*).

CHORĄŻY. Któż to mi się tak bez ceremonii wkwaterował, nawet opończy nie zdjąwszy? (*Radziwiłł odwraca się*). A czy mnie oczy mylą!

KSIĄŻE. (*kłaniając się*) Nie, panie kochanku! nie mylą... Wybrałem się incognito do szanownego sąsiada, jak cesarz Józef do carowej Katarzyny, panie kochanku... Nie chciałem kniaziowi robić kłopotu, więc zaprzągłem sobie sam kobyłę do kałamaszki i choć trochę kulała, panie kochanku, bo mi w Nieświeżu cała stajnia znosiaciała i poochwycała się—przywlokłem się do waszeci—na te zrazy.

CHORĄZY. Mości Książe... bez żartów, proszę, bez żartów.

KSIĄZE. Ale bez żartów... panie kochanku... Widzisz asindziej — tego Wojewodę Wileńskiego ciągle nosić na karku zacięży w końcu i znudzi, panie kochanku... Zostawiłem go w domu i sam bez niego do pana Chorążego przywlokłem się. Każ że gotować zrazy i tak po szczerości sąsiedzkiej daj mi rękę.

CHORĄŻY. (*z ukłonem*) Ale zdala—Mości Książe!

KSIĄŻE. Cóż to, panie kochanku, w domu własnym, na gościa i sąsiada się boczysz? to nie po polsku i nie po naszemu.

CHORĄŻY. Owszem, radem mu z serca — lecz...

KSIĄŻE. Słuchaj, Kniaziu Chorąży, panie kochanku! Radziwiłł Wojewoda czasem miewa fonfry w nosie, ale ten co go tu dziś u siebie masz, ja ci ręczę, z flakami dobre człeczysko! (*Na stronie*) Muszę go zagadywać, póki się tam nie uprzątną, panie kochanku i nie zrobią com kazał. (*głośno*) Radziwiłła ogadali przed tobą niewinnie, panie kochanku—to przylepka choć do rany przyłożyć! Tamten Miecznik i Wojewoda, czasem sobie pobrykał, panie kochanku, ale jakże było po takich jak twój Dyplowicz nie jeździć?.. Ta paskudztwo jest, panie kochanku... Ja... jakiem raz był... Gdzieżem to ja był?... panie kochanku?

CHORĄZY Albo to ja wiem, gdzie Książe bywałeś a kędyś nie bywał?

KSIĄŻE. Ja bo, panie kochanku, coś innego mówić chciałem... (*zasłania mu sobą okno*) Bo to, widzisz mój Kniaziu, choć Wojewodę zamknąłem na klucz w moim

gabinecie, w Nieświeżu, ale moja dwornia, jak się opatrzy, że się on gdzieś im zapodział, panie kochanku, węchem, jak legawce za mną w trop przybiegną... A tego tam chmara, panie kochanku... głodne to... czy im choć jeść będziesz miał co dać?

CHORĄŻY. (*spokojnie*) Znajdzie się.

KSIĄŻE. Będzie tego pewnie ze trzysta koni, panie kochanku.

CHORĄŻY. No — choćby czterysta...

KSIĄŻE. A, to dobrze — bo ja dla siebie, panie kochanku, nie wiele potrzebuję; służąc za kuchtę u pani Gałeckiej, nawykłem do wszystkiego, ale ta moja dwornia, panie kochanku, więksi panowie, niż ja... I jedzą bestye każdy za czterech i piją za sześciu... a wybredne to!.. Co im pan Chorąży dasz?

CHORĄŻY. Co mam.

KSIĄŻE. A cóż masz? panie kochanku! (*spogląda oknem*) bo ja tu coś, jakoś żadnych przygotowań dla tej szarańczy nie widzę.

CHORĄŻY. Jak to? jak to?

KSIĄŻE. Coś tam było... panie kochanku... garstka owsa i beczółka oliwy, czy coś? ale i to, pochwytano i pochowano, jak przed kozackim najazdem, panie kochanku.

CHORĄŻY. (*cisnąc się do okna*) Jak to może być? Cóż to jest? Kto śmiał? (*patrzy*) Co się stało! Na rany pańskie, to ten wisielec Dyplowicz, ale ja go zabiję! (*Chce biedz do drzwi, Radziwiłł go chwyta w pół, szamotają się, Książe go z obu stron w twarz całuje.*)

KSIĄŻE. Bracie! Kniaziu! Chorąży! słuchaj, panie kochanku! Koryatowicze z Radziwiłłami kolligaci, my krew jedna... pocałujmy się... a nie—to zaduszę... panie kochanku. Ja ciebie kocham, ja cię szanuję, ty gorąca palka jesteś, jak ja, ale dobry człowiek. Słuchajno i nie rwij się — bo zaduszę!

CHORĄŻY. (*usiłuje się wyrwać*) Książe Wojewodo— wstyd mi i hańbę uczyniono!

KSIĄŻE. Żadnego wstydu, hańby żadnej, panie kochanku. Cześć ci i sława! Spełniło się to tylko, co każdego dnia w psalmie odmawiamy:

„Ty oczyma swemi
„Ujrzysz pomstę nad grzesznemi."

Przekonasz się, panie kochanku — posłuchaj. Dyplowicz Ci Wulkę chciał zagarnąć, dając mi ją do zjedzenia, ale ja krwawicą moich kolligatów się nie żywię— ja, nie wilk, panie kochanku. Zobaczysz jak się to misternie skończy. Jużeśmy się — choć z forsą pocałowali, teraz—zgoda!.. Z całym dworem jedziemy na śniadańko do Dyplowicza — on mnie musi przyjąć... tylko... chwileczkę jeszcze...

CHORĄŻY. Ja nic nie rozumiem...

KSIĄŻE. E! ja to sobie tak plotę. (*na stronie*) Musieli się przecież uwinąć? (*głośno*) Panie Chorąży, miałbym jeszcze do was prośbeczbę. W swoim domu nic się nikomu nie odmawia.

CHORĄŻY. Jeźli w mojej mocy.

KSIĄŻE. W twojej, panie kochanku... ale daj mi słowo honoru, że to uczynisz?

CHORĄŻY. Uczynię, jeśli w mojej mocy.

KSIĄŻE. W twojej mocy, panie kochanku, nie gniewać się i pobłogosławić...

CHORĄŻY. Pobłogosławić, kogo?

KSoAŻE. Bo to, widzisz, ja ci figla spłatałem, panie kochanku... przyjechał ze mną ksiądz, poczciwy mój Wyhowski i pannie Barbarze ślub dał ze Szczuką.

CHORĄŻY. Gdzie? jak? na miłość bożą! (*chce biedz, książę go wstrzymuje*).

KSIĄŻE. To darmo! już się stało! Wzięli ślub naprzeciwko, gdym ja tu pana Chorążego durzył... panie kochanku. (*ściska go*) Nie gniewaj się... Szczuka dobry człek i karmazyn... Jesteśmy z nim w kolligacyi a bardzo majętny — kto wie czy nie majętniejszy odemnie, bo ja wiecznie goły jestem i grosza przy duszy nie mam.

CHORĄŻY. Ale moja córka, Mości Książe...

KSIĄŻE. Posłuchajcie—Szczuka mi dał pięć tysięcy dukatów gotówką i puściłem mu trzy wsie w Słuczczyźnie zastawą. Czego to goły nie zrobi?... Musiałem ślub dać w dodatku.

CHORĄŻY. Bez mojego zezwolenia!

KSIĄŻE. Ja rachowałem na to, że ty Radziwiłła gubić nie zechcesz. (*ściska go*) Nie gub Radziwiłła — oni się kochają... i my z sobą kochać się musimy.

Scena XII.

CIŻ, BASIA ze SZCZUKĄ *trzymając się za ręce wchodzą, za nimi kilku dworzan Księcia, klękają przed Ojcem i Księciem stojącymi razem.*

KSIĄŻE. A co? trzeba, panie kochanku, pobłogosławić, bo się gotowi obejść i bez naszego błogosławieństwa.

CHORĄŻY. Basiu droga! (*ściska ją i błogosławi.*)

SZCZUKA. Przebacz Ojcze!

CHORĄŻY. Radziwiłłowi się oprzeć trudno...

KSIĄŻE. Widzisz, panie kochanku — jak nie mogę siłą, to wezmę sercem... (*Ściskają się — podrzuca czapkę do góry. — Z dziedzińca słychać okrzyki i wystrzały moździerzów — wpada Dyplowicz przerażony.*) A teraz, panie kochanku, chodźmy zjeść Dyplowicza, bo trzeba, żeby ktoś za nasze grzechy odpokutował!

GŁOSY. (*za sceną*) Vivat!

Koniec.

PRZEGLĄD LITERATURY DRAMATYCZNEJ.

Słowa te piszemy w bezpośrednim, praktycznym celu nie mając pretensyi, aby obraz był pełnym i uchodził za rodzaj literackiego studyum. Są to tylko pobieżne przypomnienia wrażeń, jakie odbieraliśmy przeglądając nowości dramatyczne ostatnich czasów, tak polskie jak zagraniczne. Wrażenia te powtarzamy sobie dziś właśnie w pamięci, bo jest to, jak powiadają, chwila odrodzenia się lwowskiej sceny. Otóż pragniemy osobom układającym repertoarz przyszły ułatwić zadanie, wskazując na ważniejsze pojawy z ostatnich lat w tej dziedzinie. Jakkolwiek bowiem wiele do zarzucenia mieć należy ustępującej dyrekcyi, to jednak sumienna bezstronność przyznać musi, iż repertoarz bywał wcale obfitym w nowości tak własnej, jak i obcej muzy dramatycznej. Wiele przedstawiono rzeczy cennych, ale też wiele pominięto; aby przedstawić wszystko, nie było ani czasu, ani sił, ani znajomości przedmiotu. Uzbierała się więc w szeregu lat wcale spora wiązanka cennych, u nas nieznanych kwiatów, — i na nie tu chcemy wskazać. Zaczniemy od literatury własnej.

Koziebrodzki, Fredro syn, Starzeński, Bałucki, Urbański stanowili zastęp młodych pisarzy mniej lub więcej utalentowanych, których utworami wyłącznie publiczność ostatnich czasów zachwycaną lub oburzaną bywała. Inni autorowie byli bądźto pomijani zupełnie, bądź rzadko tylko ich słowu dano przemówić ze sceny. A zasługują na to. Poetą dramatycznym w tego słowa wyższem pojęciu jest bezsprzecznie Józef Szujski, jakkolwiek napisał parę rzeczy bądź nieuwzględniających scenicznej formy („Królowa Jadwiga"), bądź rzeczywiście nie posiadających istotnej wartości („Adam Śmigielski"). I pomiędzy utworami jednak nie dla sceny pisanymi wyziera bardzo znacząco po nad poziom zwykłości pomimo błędów kompozycyi i braku pewnej łączności organicznej w powiązaniu szczegółów, dramat jego „Twardowski", który jakkolwiek ma zakrój obrazu alegorycznego, skupia w licznych epizodach wiele dramatycznego życia, bystrej charakterystyki i rzadkich zalet w dykcyi. Delikatna poetyczność całego pomysłu łączy się tu z głębokością tak, że dramat ten na scenie pod każdym względem budzić może wielkie zajęcie. Już zaś wcale sceniczną jest tragedya tegoż autora: „Zborowscy;" nie wahamy się nazwać jej utworem znakomitym, wyjąwszy nienaturalne zakończenie, które po „Egmoncie" Goetego i „Narzeczonych z Aragonu" Michała Beera przestało być w pomyśle nowością, a nie było nigdy psychiczną prawdą. Koloryt wieku jest tu tak wiernie ujęty, historyczność przegląda tak wyraziście z każdego szczegółu obrazu, świadcząc o gruntownych studyach autora nad epoką a nie tamując swobodnej pracy fantazyi, charaktery Krzysztofa i Samuela Zborowskich, Jana Zamojskiego i pomniejsze tak jędrne i typowe a zgodne z wyobrażeniem, jakie nam o nich przekazuje historya, że doprawdy „Zborowscy" wymagają koniecznie wprowadzenia na scenę, gdzie plastyka duchowa tych postaci tem kształtniejby się wyraziła.

Po Szujskim uważalibyśmy utwory dramatyczne Adama Bełcikowskiego za godne wszelkiego szacunku w obec sceny. Ponieważ we Lwowie żaden z nich dotąd nie był przedstawionym, chcemy tu o nich dłuższe powiedzieć słowo. Komedyi „Dwaj Radziwiłłowie" nie znamy; dramat historyczny „Adama Tarlę" uważamy za utwór chybiony, nie mający ani żywiołów prawdziwie dramatycznych w akcyi, ani siły w charakterystyce, ani archaizmu chwili dziejowej, ani poetyczności języka, chociaż ujętego w rymy; ale tem wyżej za to cenimy jego komedyę historyczną „Król Don Żuan" i dramat „Hunyadi"; dlatego o nich szerzej.

Komedya „Król Don Żuan" wprowadza nas na dwór Augusta II, pełny wersalskiej galanteryi i naśladowanych miłostek Trianonu. Ludwik XIV był słońcem tej epoki i zjawiskiem na tle ówczesnego pojmowania życia tak świetnem, że dążenia wszystkich monarchów współczesnych jednoczyły się w myśli dorównania mu w sztuce polityki i buduaru. „Pomiędzy Tytanami szturmującymi do siedliska Olimpijskiego Jowisza", jak mówi autor w przedsłowiu, był i nasz August II. Na jego dworze wyrastały także wszelkie namiętności, wszelkie dyplomacye białych ramion, wszystkie intrygi kobiecych wpływów. Ale Ludwik XIV mimo rządu kobiet był człowiekiem o szerokich widokach umysłu i daleko sięgającej ambicyi monarszej; na jego twarzy, wypiętnowanej Sybarytyzmem połyskiwało także piętno geniuszu. August II mniejszą posiadał miarę inteligencyi, a nie skromniejsze zamiary; opanowany zupełnie przez kochanki, alabastrowi rąk ich powierzał rozwikłanie wielkich zadań politycznych. Twarz zaś jego wielka i otwarta, z pogodnym, uśmiechniętym wzrokiem, z różanemi wargami, zdolnemi smakować rozkosze i podnosić się wspaniałą dumą, magnetyczny wpływ wywierała na kobiety. „Być pięknym, jak pogański bożek, i królem, to dwa tytuły do powodzenia u nich". Filozofię takiego żywota przesuwającego się powłoką każdej myśli, a sięgającego tylko do głębi każdej rozkoszy, nazywa ktoś z osób komedyi: „równowagą ducha i materyi, harmonią, która jest celem człowieka." W takiem życiu, jak w rozdziale z powieści wschodniej, wszystko drwi z rozsądku, wszystko rodzi się z fantazyi i na nią umiera. Komedya p. B. jest cierpką i do najsubtelniejszych zagadek takiego bytu sięgającą satyrą. Każdy krok uczyniony przez którękolwiek z figur komedyi nie mierzy się tu miarą rozsądku i refleksyi, ale grymasem fantazyi. Największe katastrofy polityczne są wynikami najbłahszych przyczyn, igraszką obrażonej lub naprężonej namiętności; wszelka treść i powaga życia ulotniły się w chaotyczny taniec uczuć, zacnych albo występnych; wszelkie względy płci i grandezzy monarszej pominięte, a przebieranie się królewskich miłośnic w oficerów gwardyi, nocne wycieczki króla do przedmiejskich winiarni, pojedynki i cały ten aparat romantyczno-awanturniczy, nie rażą tu, ale są wielce prawdziwem, dobrze zrozumianem tłem czasu. Pośród tych igraszek jedyna miłość córki winiarza do króla, pomyślana fantastycznie ale poczuta szczerze, jest także wplątaną zręcznie w ten szereg urojeń fantazyi, jakiemi żyją wszelkie osoby tej komedyi, nie zwykłe się liczyć z wymogami rozsądku. A jednak całe życie swawolnej wyobraźni ulega wreszcie moralnemu ładowi świata. Z takich motywów osnuł p. B. komedyę pełną werwy, silnych kontrastów i nakreślonych z talentem postaci. Kolizye przesunięte w tym kalejdoskopie awantur byłyby rażącemi, gdyby się snuły po innej kanwie; tutaj zaś są wierną fotografią prawdy. Tło więc komedyi jest wzorowo pomyślane i wyrzeźbione aż do najlżejszych odcieni. Jest tu jednak więcej humoru i życia w sytuacyach, aniżeli w samym dyalogu, który częstokroć bywa płaskim i bezbarwnym, a najczęściej pozbawionym cech kolorytu historycznego. Ponieważ zaś w dyalogu właśnie przejawia się najgłębsza treść charakterów, przeto i one mogłyby w ten sposób być przeniesionymi w każdą epokę bez popełnienia anachronizmu. W wszelkich zresztą sztukach swoich zdaje się p. B. zapominać, że każda chwila wśród dziejów kształtuje i wciska w pewne formy swoich ludzi i swoje życie. Zresztą jest komedya p. B. w całości utworem wielce szczęśliwym jako dzieło sztuki i jako obraz smutnych stosunków.

Zupełnie innego rodzaju utworem jest tragedya 5-aktowa tegoż autora „Hunyadi." Wprowadzeni tu jesteśmy na szeroki tor historycznego życia, a rzecz dzieje się w r. 1457 po bitwie pod Belgradem, w której wielki Jan Hunyadi śmiercią własną ocalił Węgry i chrześcyaństwo od najścia tureckiego. Bohaterem dramatu jest Władysław, syn Jana, a treścią smutne losy jego życia i uczuć, skierowanych ku bogatej dziedziczce węgierskiej Annie hrabiance Ronnow. Nie jest to romans powszedni, ale spleciony z motywami dziejowej natury, z politycznymi interesami kraju i walką stronnictw. Dlatego horyzont tego dramatu jest szerokim, a powiązanie czynników dziejowych z historyą uczuć osobistych bardzo kunsztowne. Osoby działające są tu narzędziami ducha dziejowego, będącymi w służbie wyższych idei i moralnego porządku, a zarazem ludźmi, cierpiącymi w uczuciach i namiętnościach osobistych najgłębsze motywa swoich dążeń. Dramat rozwija się prawidłowo, nie grzesząc ani przeciw logice poetycznej ani psychicznej, w obrazach wielkiej siły, jakkolwiek pozbawionej tu i owdzie prostoty. Nastrój

podniosły charakterów odpowiada godnie powadze akcyi, w której nie dostrzegliśmy ani rozciągłości dyalogów, ani bezbarwności w sytuacyach; i owszem życie dramatyczne pulsuje w całym toku działania i skupia się w momentach ogromnej wyrazistości. Pisząc to mamy głównie na oku przydatność sztuki do scenicznego przedstawienia. Otóż widzimy w „Hunyadym“ szczególną plastykę charakterów, nadającą się wybornie do sceny. Cóż za bogactwo charakterystyki znajdujemy w postaci hrabiego Urbana, ile najdelikatniejszych odcieni duszy w Annie, ile heroicznej wzniosłości w Hunyadym, ile namiętnego cynizmu w Królu? Wszystkie te figury występują tu tak jasno i tak wybitnie, że odtworzenie ich sceniczne uważalibyśmy za najpiękniejsze zadanie dla artystów. Gdyby nie chodziło o scenę, ale o konsekwencyę charakterystyki, może zapytalibyśmy autora, czemu Anna przez kilka aktów tai swą niewinność przed Hunyadym, kiedy wcześniejszem wyznaniem prawdy mogłaby uratować spokój jego duszy, a może i życie? czemu Hunyadi okazuje za mało energii czynu i męskiej siły odporu, ulegając fatalizmowi wypadków itd.? ale w obec sceny są to usterki nazbyt wyszukane, — w obec wrażenia efektów tu pomieszczonych, w obec bogatej gry wewnętrznej, cechującej każdą postać, w obec siły w charakterach, poetyczności w całym ustroju rzeczy, jawiącej się szczególnie w języku pełnym ognia i polotu, jakkolwiek za jednostajnie patetycznym. Naturalnem jednak oddaniem ustępów, za nadto na szczudła wyśrubowanych można uprawdopodobnić dyalog, który zresztą na każdym kroku uderza obrazami niezwykłymi fantazyą.

Obok tych dwóch utworów pana B. domagających się gwałtownie przedstawienia, wskażemy już tylko pobieżnie na dwie komedyjki jego, z których pierwsza: „Nie jesteśmy sobie nic winni“, ma wiele wdzięku i zręczności w układzie, a druga „Wizyta pana Feliksa“ potężną dozę humoru i bogactwo komicznych sytuacyi, mogących w teatrze wywrzeć pożądane wrażenie.

(Dok. n.)

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Synpolski Idea.* Bruksella. Dehu. 1871. Autor radzi zastąpić wiarę objawioną racyonalizmem i filozofią natury, nie posuwa się jednak w tym kierunku do zapatrywań skrajnych, pozostawiając w rzędzie pojęć i instytucyi społecznych narodowość, familię i własność.

— *Dühring dr. E. Kritische Geschichte der Philosophie von ihren Anfängen bis zur Gegenwart.* Berlin. Heiman 1872. Jest to pierwszy krok ku ocenieniu filozofii w jej rozwoju historycznym ze stanowiska dzisiejszych ścisłych umiejętności. W obec tak zmienionych podstaw krytyki występują też tu systemy Arystotelesa, Leibnitza, Hegla, Schleiermachera i innych w zupełnie nowem świetle. Książka ta powitaną została w Niemczech jako stanowiąca zwrot w metodzie opracowań historyczno-filozoficznych.

— *Quäbicker dr. Rich. Kritisch-philosophische Untersuchungen.* Zeszyt 1. *Kant's und Herbarts methaphisische Grundansichten über das Wesen der Seele.* Berlin. Heiman 1872. Poddaje surowej i bystrej krytyce błędy obu tych systemów.

LITERATURA. Księgarnia p. K. Wilda upewnia przedplacicieli „*Zarysu literatury*“ *A. Kuliczkowskiego*, iż ostatni zeszyt tego dziełka w krótkim już czasie opuści prasę.

POEZYA. *Poezye Kaj. Węgierskiego* wyszły świeżo w *Bibliotece klasyków polskich* Jana Breslauera w Warszawie.

— *Niekrasów* wydał w języku rosyjskim przekład „*Rękopisu Królodworskiego*;“ obok pierwotnego tekstu podaje autor słowniczek, gramatykę staroczeską, obfite przypiski a w przedmowie opowiada dzieje Rękopisu Królodworskiego i jego różnych wydań.

HISTORYA. *Chomentowski Wł. Stanowisko praktyczne dawnych niewiast.* Warszawa. Jaworski 1871. Nastąpi rozbiór.

— *Karłowicz Jan. Wyprawa kijowska Bolesława Chrobrego.* Poznań. Żupański. 1872. Nastąpi obszerniejsza wzmianka.

— *W. Obermüller* wydał dziełko p. n. *Zur Abstammnug der Slaven—historisch-sprachliche Skizze,* w którem występuje z nowymi zupełnie poglądami na pochodzenie Słowian. Autor daje im w ogóle początek celtycki, a Polakom celtycko-tracko-sarmacki. Wyraz Slavus, Slavan pochodzi wedle jego zdania od celtyckiego luibh czyli Sluibh (późniejsze laub), po polsku: puszcza; wyraz ten brzmiał potem jako slab, slav, a w połączeniu z wyrazem an (człowiek) przeszedł w ogólną nazwę Slavan, Slov-an, człowiek puszcz (*Wieniec*).

— *P. Eustachy Tyszkiewicz* zamierza wydać odkryte przez siebie, niezmiernie ważne dla historyi dokumenta: *Stefana Batorego dyplomatyczne rokowania ze Szwedami 1582.*

— *Oscar Testut. L' Internationale et le Jacobinisme au ban de l' Europe.* Paris. Lachaud 1872.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Prawo postępu,* studyum przyrodniczo-społeczne przez Ludwika Masłowskiego. Kraków 1872. Nastąpi wzmianka obszerniejsza.

NOWE PISMA. W *Poznaniu* wychodzić zacznie od 1go Kwietnia nowe pismo polityczne: „*Gazeta Wielkopolska*“ pod redakcyą Dr. Kazimierza Schulca.

— W *Nowym Yorku* wychodzić będzie gazeta polska p. t.: „*Swoboda*“ pod redakcya Franciszka Tomińskiego. Z prospektu wyjmujemy parę ustępów: „Pod względem wiadomości politycznych starać się będziemy, aby „*Swoboda*“ zawierała sprawozdania treściwe główniejszych wypadków, z wyjaśnieniem ich stosunku i wpływu na sprawę wolności i postępu, zwracając wyłączną baczność na czyny i usiłowania, z wyzwoleniem ojczyzny naszej styczność mające, jak również nam samym za bodziec do kształcenia się i poprawy służyć mogące.“

ODCZYTY. W *Czytelni akademickiej* lwowskiej odbyły się w półroczu zimowem 1871 — 1872 następujące *odczyty naukowe:* „Oświata i równość społeczna,“ „Nieomylność papieska w obec katolickiego dogmatu i historyi“ (dwa razy), „Adam Mickiewicz jako poeta narodowy,“ „O wewnętrznych i zewnętrznych przyczynach upadku Polski,“ „Mózg i dusza,“ „Filozoficzne zasady prawa,“ „O ekonomii sił w przyrodzie,“ „Historyczny rozwój komunizmu,“ „Dwa lata rządów króla Władysława na Węgrzech,“ „Pojęcie szatana w historyi“ „Obecny stan kwestyi socyalnej.“

TEATR. Skład przyszłego grona artystów lwowskiej sceny stanowią panie: Aszpergerowa, German, Hubertowa, Linkowska, Nowakowska, Rudkiewiczówna, Wolańska; panowie: Baranowski, Dębicki, Dobrzański, Hubert, Konarski, Kwieciński, Linkowski, Ładnowski, Nowakowski, Podwyszyński, Woleński. Układy toczą się jeszcze z panną Deryng, których pomyślne dla lwowskiej sceny załatwienie uważa publiczność za wprost niezbędne, jakoteż z panem Wardzyńskim. Również nie wiemy, czemu nie dostrzegliśmy w powyższym wykazie pani Parznickiej z Krakowa i pana Rapackiego z Warszawy, o których stałem pozyskaniu dla lwowskiej sceny tylokrotnie nas zapewniano. Na gościnne występy przyjadą już w kwietniu panna Romana Popiel i pan Rapacki. Dyrektorami orkiestry teatralnej są pp. Szürer, Henryk Jarecki (z Warszawy) i Kozłowski. Widowiska sceniczne pod nową dyrekcyą rozpoczną się w Poniedziałek Wielkan. (d. 1. Kwietnia) komedyą Alex. hr. Fredry: „Śluby panieńskie.“

— W *Krakowie* odegrano w Sobotę (d. 9. b. m.) komedyę Moliera „Lekarz mimo woli. — W *Poznaniu* przedstawiono tegoż dnia zapowiadanego długo „Hamleta.“ W roli tytułowej wystąpił p. Woleński. Krytyka podnosi sumienną pracę artysty, której brakło jednak należytego uwydatnienia wszystkich odcieni charakteru.

Od redakcyi. Począwszy od Kwietnia będziemy umieszczać przy *Świcie* **inseraty** w osobnym półarkuszowym dodatku. Przyjmują takowe: we Lwowie Ajencya *Czasu* p. Alex. Piątkowskiego, w Krakowie Ajencya *Świtu* w księgarni p. J. Wilda, we Wiedniu p. A. Oppelik Wollzeile, 22 i pp. Haasenstein & Vogler, Neumarkt 11, w Paryżu Wny pułkownik W. Raczkowski Rue du Pont de Lodi nr. 1.

Opłata: za wiersz drobny (*petit*) 6 ct., oraz należytość stemplowa po 30 ct. za każdorazowe ogłoszenie.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.